



Joanna Morea

Kiedy marzenia spełniają się na dachu



Ameryka Łacińska



Joanna Morea

**KIEDY MARZENIA
SPEŁNIAJĄ SIĘ
NA DACHU**

AMERYKA ŁACIŃSKA

© Copyright by Joanna Morea & e-bookowo

Projekt okładki: e-bookowo
Grafika na okładce: Dream79 (Envato)
Skład: Ilona Dobijańska

ISBN e-book: 978-83-8166-152-2
ISBN druk: 978-83-8166-153-9

Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2020

[Kup książkę](#)

CZĘŚĆ I



Początek, Olivier

Zamawiam kolejną kawę. Wszystkie stoliki wokół nas są zajęte, a przyjemny gwar przeplata się z dźwiękami niezbyt głośnej muzyki. Siedzimy w ogródku jednej z wielu kawiarni brukselskiego Grand Place. Słońce przyjemnie ogrzewa. Jest początek lata.

Olivier przypala następnego papierosa.

– Chciałem jechać dalej, poznawać nowe miejsca. To był dopiero początek mojej podróży, a już utknąłem przez deszcz. Zobaczysz, jak was będzie gnało do przodu. – Spojrzał na mnie. – Wiesz, zobaczyć jak najwięcej i jak najszybciej. Ale tak się nie da podróżować. Trzeba umieć rozłożyć siły na całość wyprawy. Nawet jeśli planujecie jeździć tylko kilkanaście tygodni. Trzeba wiedzieć, kiedy się zatrzymać na odpoczynek. Bardzo łatwo przekroczyć pewną niebezpieczną granicę i wyczerpać ciało albo umysł. To bardzo ważne. – Zaciągnął się głęboko. – Ty nie palisz, prawda?

– Nie.

– To bardzo dobrze. – Uśmiechnął się. – No więc chciałem jak najprędzej opuścić niewielkie miasteczko, w którym przeczekiwałem porę deszczową. Mieszkalem tam od kilku

tygodni, dlatego prawie wszyscy mnie już znali. Pewnego dnia przyszedł do mnie taki jeden brzuchaty wąsacz i wyjaśniając, że to koniec deszczy i że od kilku dni już nie padało zaproponował, że skoro tak bardzo mi się spieszy, to jutro wraz ze mną i kilkoma jeszcze osobami może wyruszyć do sąsiedniego miasta. Zgodziłem się natychmiast bez żadnych zbędnych pytań, oczywiście poza uzgodnieniem ceny za przejazd. W Ameryce Południowej zawsze trzeba dokładnie dogadać szczegóły finansowe. Ale nie próbuj ustalać dokładnej godziny, wszystko jest bowiem *mañana*, czyli jutro albo za chwilę, co trzeba rozumieć jako długą, nawet parogodzinną chwilę. Latynosi mają inne poczucie czasu, a ten fakt, my, *gringo*, możemy tylko zaakceptować. Następnego dnia wcześniej rano stawilem się w umówionym miejscu. Ku mojemu zdziwieniu wąsacz już tam był i pakował bagaże. Jego samochód, półciężarowy jeep, nie wyglądał najgorzej. Kilkoro ludzi wepchało się do środka, a ja zająłem miejsce obok kierowcy.

Czekała nas długa droga przez dżunglę. Byliśmy chyba „pierwszym samochodem” wyruszającym po ledwo skończonej porze deszczowej. Byłem szczęśliwy i podekscytowany. Nareszcie do przodu, nareszcie nowe miejsca i nowi ludzie, nareszcie zmiana, myślałem.

Zaraz za miastem zorientowałem się, że droga jest wciąż podmokła i błotnista. Popatrzyłem na spoconego kierowcę i pomyślałem, że facet wie, co robi i na pewno już nie raz jeździł tą trasą. Zupełnie jakby czytał w moich myślach, zaczął opowiadać, jak to co roku po deszczach droga jest tak zniszczona, że aż nieprzejezdna, że się osuwają pobocza, wałą wielkie drzewa, tworzą nowe rzeki itd. Co tam, nam się nic

nie może stać, myślałem. Zresztą byłem wtedy młody, silny i wszystko mogący. Jazda nie była łatwa. Co chwila zwalnianie, przyspieszanie, przedzieranie się przez tony błota i głębokie kałuże. Nie pamiętam, ile czasu już jechaliśmy, kiedy nagle auto przechyliło się gwałtownie na moją stronę i tur-lając się, zaczęliśmy spadać w dół. Pamiętam tylko przeraż-
liwe krzyki współpasażerów, jakieś pourywane obrazy wiru-
jących drzew i... spadających na mnie przedmiotów. Jeszcze
czasem widzę w snach przerażoną twarz kierowcy, wbijają-
cą się w moją klatkę piersiową. Kiedy się ocknałem, byłem
w jakimś dusznym szpitalu. I to wiesz gdzie? W tym samym
miasteczku, z którego chciałem już uciekać. Przeleżałem
tam długie tygodnie, a w dalszą podróż ruszyłem dopiero po
trzech miesiącach. Tak właśnie chciałem sobie przyspieszyć
wędrowkę. Pamiętaj – spojrzał mi prosto w oczy – spieszcie
się powoli i słuchajcie, co wam radzą lokalni mieszkańcy. Oni
wiedzą więcej, niż wyczytacie z przewodników.

Skinęłam głowę.

– Będę o tym pamiętać.

Już blisko sześćdziesięcioletni Olivier opowiada mi jesz-
cze kilka niezwykłych historii ze swojego bogatego podróz-
niczego życia. Dopiero kiedy skończył, zauważam, że słońce
dawno już zniknęło z wielkiego placu.

– Wiesz, młoda kobieto, jak trudno jest dzielić trudy takiej
traperskiej tułaczki z drugą osobą? – pyta mnie nagle.

– Myślę, że będzie to dla nas wielkie wyzwanie.

– Jeśli wytrwacie, to macie szansę żyć wspaniale do końca
swoich dni. Ale jeśli się wam nie uda, wiedz, że nie będzie
to porażką.

– A ty podróżowałeś ze swoją żoną?
– Niestety nie, bo żadna kobieta ze mną wcześniej nie wytrzymywała.

– Przecież jesteś żonaty.

– Tak, ale moja żona nigdy ze mną nie podróżowała.

– Ale akceptowała twoje wyjazdy?

– Tak, i bardzo ją za to szanuję.

Ściskamy się na pożegnanie.

– Chyba zacznam wam zazdrościć tej wyprawy. Ale mój czas już minął, teraz wasza kolej. I wam podobnym. – Patrzy przez chwilę gdzieś przed siebie, zatapiając się w sobie tylko znanych myślach.

– Zapomniałbym o czymś najważniejszym – zwraca się do mnie po chwili. – Jak nie wiecie, dokąd dalej podążać, jedźcie za takimi „hippie”, oni zawsze znają ciekawe miejsca.

Oboje, Włodek i ja, lubimy nasze wieczorki. Wspólne chwile wyrwane z codziennych obowiązków, pachnące dymem z kominka, smakujące nalewką z pigwy lub jagodówką. Kiedy miasto cichnie za oknami, my bez żadnych obaw i wstydu oddajemy się we władanie swoim marzeniom i namiętnościami. Każde z nas chce być bardziej twórcze i oryginalne. Jakież to w takich chwilach odkrywamy w sobie talenty. Czasem mówimy dużo, a czasem słowa stają się zbyteczne. Czasem dotykom, a czasem słowom nie ma końca.

Właśnie w czasie jednego z takich wieczorów dajemy się ponieść naszej fantazji. Pozwalamy, aby przemycane przy różnych okazjach pomysły połączyły się i zabrzmiały pełnym dźwiękiem. Wtedy to pada owo magiczne słowo – podróż. Nie jakiś tam kilkutygodniowy wypad, jak to robiliśmy dotych-

czas, tylko kilkumiesięczna wyprawa z plecakami, prawdziwa traperska podróż.

Czas płynie coraz szybciej, a ja przygotowuję wszystko do naszej wyprawy. Po raz kolejny zauważam pewną powtarzającą się prawidłowość – kiedy moja postawa wobec wszystkiego, co robię, pozostaje na etapie wierzącego w sukces dziecka, wtedy sprawy dzieją się jakby same. Oczywiście nie znaczy to, że nie trzeba wkładać w realizację planów żadnej pracy. Ale nie należy z niczym przedobrzyć i w niczym nie przesadzić. Wcale nie zawsze mi się to udaje, niestety emocje często biorą górę i w takich chwilach szybko dorosłeję, analizując każdy swój ruch. Włączają się wtedy nieuzasadnione obawy, wątpliwości i brak wiary. A to już pierwszy krok do przegranej.

Na szczęście przygotowania do wyprawy są dla mnie czystą przyjemnością i pewnie dlatego wszyscy oraz wszystko mi sprzyja. Odpowiedzi na pytania spadają dosłownie z nieba. Plakaty rozwieszone na budynkach, gazety pozostawione w metrze, ulotki wrzucone do skrzynki – to wszystko do mnie mówi. Że nie wspomnę o ludziach, którzy, często nawet nieświadomie, naprowadzają mnie na odpowiedni trop. Szalone, rozpędzone, ale jakże twórcze są te ostatnie miesiące przygotowań przed wyjazdem.

Nie wszystkie jednak sprawy układają się tak fantastycznie...

Mistrzostwem jest utrzymać optymizm i rozwibrowane emocje na jednym, wyrównanym poziomie. Oczywiście różnorodność uczuć świadczy o bogactwie jednostki, tak więc zarówno łzy, jak i śmiech, radość i cierpienie są cenione, a nawet pożądane. Ta przedziwna mozaika uczuć, jak na moje pojęcie o świecie, jest zbyt intensywna kolorystycznie. Zbyt blisko

układają się dla mnie szczęście z rozczarowaniem, zbyt ciasno subtelność z objawami agresji, kłótnia zakończona pocałunkami, obietnica z brakiem konsekwencji, chaos z niczym niezmierną harmonią, wielka miłość z chłodną obojętnością.

To tak, jakby naszym małżeństwem zaczęły targać nagle wszystkie huragany, tajfuny, cyklony i trąby powietrzne; jakby wszystkie nieprzepracowane przez każde z nas problemy z młodości uaktywniły się nagle jak drzemiące wulkany i zaczęły wylewać rozgrzaną, niszczycielską lawę; jakbyśmy nagle zdjęli zasłony i ujrzeli swoje inne, nieznane nam dotąd oblicza. Gubimy się, a jest to już nasz trzeci rok małżeński.

Słabniemy pod presją zbliżających się wydarzeń. Nie wiem, czy wynika to ze strachu przed tak długą podróżą, a planujemy ją na kilka miesięcy, czy z niepewności, jaka się z nią wiąże.

Ostatnie tygodnie mijają w zawrotnym tempie, a wciąż gonią nas setki niedokończonych spraw. Stosy dokumentów piętrzą się na stole i ciągle dokładamy nowe do załatwienia. Godziny zamieniają się w minuty, a noce stają się zbyt krótkie. Wpadamy sobie w ramiona, nie chcąc się z nich wypuścić albo omijamy się z daleka, żeby nie być w zasięgu swojego wzroku.

Nagle wszyscy nasi znajomi i przyjaciele pragną się z nami spotkać, uściskać i pobyć, prawie jakbyśmy mieli już nigdy nikogo nie zobaczyć. Niektórzy nas podziwiają, inni zazdroszczą. Wszyscy widzą w nas szczęściarzy.

– Spełnacie swoje marzenia, to wspaniale – mówią.

– No cóż, w końcu nie bez powodu jestem w czepku rodzona – odpowiadam.

– Taka podróż to wspaniała idea – zagaduje mnie kiedyś moja przyjaciółka, będąca świadkiem jednego z naszych

mażeńskich spięć – ale w takiej wyprawie będziecie skazani na siebie. Dwadzieścia cztery godziny na dobę tylko ze sobą.

– Wiem i albo bogactwo doświadczeń sprawi, że scementujemy nasze małżeństwo, albo...

– Albo?

– Albo wrócimy oddzielnie.

– To niemożliwe!

Czy wznosząc się ku niebu, człowiek zbliża się już do raju? Czy to dopiero dotarcie do bram czyśćca? Może dlatego każdy, kto raz trzyma ster samolotu w dłoniach albo wzniesie się w przestworza na paralotni, już nie może uwolnić się od tęsknoty za tą rozległą przestrzenią, za tym bezkresem i potęgą wielkości dla wielu kojarzoną prawie z boskością.

Człowiek czuje się silniejszy, kiedy spogląda na wszystko z góry, z dystansu. Czuje się mądrzejszy, kiedy postrzega szeroko. Dlatego wchodząc na szczyt góry, staje się kimś innym, kimś lepszym i większym, bogiem prawie. A im wyższa góra, tym więcej spływa na nią błękitu nieba.

Patrzę przez małe okno samolotu na rozlany po horyzont rajski błękit. Od ziemi oddziela go warstwa szarobiałych chmur będących swoistą granicą pomiędzy tym co ziemskie i pozaziemskie. Z każdą godziną wszystkie sprawy pozostawione na ziemi bledną, ich kształty się rozmywają, a treść staje się coraz mniej istotna. Czy podobnie obojętnieje dusza, która, jak twierdzą świadkowie i znawcy, pozostawiając ciało, podąża do nieba?

My pozostawiamy nasze dotychczasowe życie, rozpoczynając jego zupełnie nowy etap. Jak w zastraszająco szybkim czasie to, co jeszcze parę dni wcześniej było dla nas źródłem

konfliktów i spieć, teraz przemieniało się w nic nieznaczący szczegół, w nieważny detal, szary element codzienności.

Lecimy do Brazylii, do Rio de Janeiro. Steward podszedł do nas i grzecznie pyta, czy czegoś sobie życzymy. Jest Brazylijczykiem.

– Czy mógłby nam pan polecić jakiś dobry brazylijski trunek? Dostajemy po chwili półsłodkie wino.

– Za nas i naszą podróż!

Moje myśli odpływają do miejsca, gdzie narodził się pomysł o wspólnej podróży, do naszego mieszkania. Spoglądam w wyobraźni na stół, przy którym kreśliłam pierwsze konkretne trasy tej wyprawy, na biurko oraz komputer, przy którym spędziłam godziny w poszukiwaniu biletu lotniczego dookoła świata, i w okno, przez które gapiłam się wymyślając najlepsze konfiguracje. Ponieważ nasze małe mieszkanie znajdowało się na dachu kilkupiętrowego budynku, często wychodziłam na zewnątrz, siadałam przed oknem i patrząc przed siebie, oddawałam się marzeniom o przyszłych podróżach. Marzyć na dachu to najczystsza forma intelektualnej i kreatywnej rozkoszy. To otwarcie na niczym nieograniczone fantazjowanie, z którego jak widać coś może się zmaterializować. Moje wymyślanie właśnie stało się faktem. To w mieszkanku na dachu wszystko się zaczęło.

Spoglądam na mojego partnera wznoszącego toast na pokładzie samolotu.

– I za bezpieczny powrót! – dodaję.